

Księga Urizena

O mocy zagarniętej przez pradawnego Kapłana,
Kiedy Wieczni religią jego wzgardzili
I dali mu na północy miejsce
Mroczne, cieniste, puste, samotne.

Wieczni! Wasz głos z radością słyszę.
Dyktujcie słowa uskrzydłone, bez trwogi
Odślaniajcie ciemne wizje męki.

I

Oto cień grozy się wzniosł
Pośród Wieczności! Nieznany, bezpłodny,
Zamknięty w sobie, wszystko odpychający. Jakież Demon
Tę wstrętną pustkę ukształtował,
Próżnię, która przeraża duszę? Niektórzy powiadali:
„To Urizen”. Lecz nieznana, odosobniona,
Zaczajona, tajemna, mroczna moc się kryła.

Czasy po czasach rozdzielił; i przestrzeń
Wymierzył za przestrzenia w dziewięciokrotnej
ciemności,
Niewidzialny, nieznany. Zmiany się pojawiły
Jak odosobnione góry, roztrącone gwałtownie
Czarnymi zamętu wichrami.

Albowiem bitwy toczył przeraźliwe
W niewidzialnej Wojnie ze zrodzonymi
Z porzuconej przez niego puszczy
Kształtami bestii, ptaków, ryb, węzów, żywiołów,
Ogni, wichrów, oparów i chmur.

Mroczny krzątał się w milczącym działaniu,
Niewidzialny w udręce namiętności,
W działaniu nieznanym, straszliwym,
W sobie samego wpatrujący się cień,
Olbrzymimi pochłonięty trudami.

Lecz Wieczni bory jego rozległe dostrzegli.
Przez wieki wieków leżał zamknięty, nieznany,
W głębinie zaczajony; wszyscy omijają
Skamieniały ten, ohydny chaos.

Zimną grozę swoją niemy, mroczny Urizen
Przygotowywał; miriady jego gromów
W ponurych, jak do walki, szeregach przez straszliwy
Rozbiegają się świat; turkot jego kół,
Jak morze wzdęte wichrem, rozbrzmiewa w jego
chmurach

I na jego wzgórzach przygniecionych zwałami śniegu,
Na mroźnych, chłostanych gradem górach; krzyk zgrozy
Nieraz daje się słyszeć, podobny gromom jesiennym,
Ileć się chmura nad zniwami rozżarzy.

II

Ziemi nie było ani kul przyciągania.
Wola Nieśmiertelnego rozprzestrzeniała
Albo ścieśniała wszystkie jego giętkie zmysły.
Śmierci nie było; wieczne krzewiło się życie.

Głos trąby niebios przebudził;
I szeroko rozpostarte chmury krwi
Toczyły się wokół skał Urizena zamglonych.
Takie nosił imię ten samotny w Bezmiarze.

Ostry trąby dźwięk. I oto miriady z Wieczności
Stają w ordynku nad szarymi pustyniami
Pełnymi teraz chmur, ciemności, fair
Które mozolnie, krętymi drogami się toczyły.
I słowa wypowiedział wyraźne, a huczały
Jak grom nad wierzchołkami jego gór:

„Z głębi mrocznej samotności, z wiecznego
Gniazda w łonie mej świętości,
Ukryty, odosobniony pośród zamysłów surowych,
Przeznaczony dla dni przyszłości,
Szukałem radości bez bólu,
Trwałości bez rozchwiania.
Dlaczego umrzeć chcecie, Wieczni?
Czemu w nie gasnącym żyjecie palenisku?

Najpierw z ogniem się zmagalem — i w głębie
Wtłoczyłem go, w świat wewnętrzny,
Pustkę bezmierną, dziką, ciemną, bezdenną,
Gdzie niczego nie było, Natury rozległe łono.
I wsparty na samym sobie, nad próżnią rozpostarty
Ja jeden, właśnie ja! wichry bezlitosne
Spętałem; lecz gęstniejąc w kaskady
Spadają nieustannie. Silny, odepchnąłem
Fale szerokie — i powstał nad wodami
Świat mocnego utwierdzenia.

Ja tu samotny w księgach wykutych z metalu
Zapisałem tajemnice mądrości,
Walkami, zmaganiem
Tajemnice mrocznej kontemplacji
Z przeraźliwymi z Grzechu zrodzonymi potworami,
Mieszkającymi W łonach wszystkich,
Siedmioma grzechami śmiertelnymi duszy.

Oto rozsuwam moją ciemność, oto na tej skale

Ręką mocną kładę tę Księgę
W spiżu wiecznym wykutą, w odosobnieniu moim
napisaną:

Prawa pokoju, miłości, jedności,
Litości, współczucia, przebaczenia.
Niechaj każdy jeden wybierze przybytek,
Odwieczny swój dom bezmierny,
Jedno przykazanie, radość jedną, tęsknotę jedną,
Jedną klątwę, jedno brzemie, jedną miarę,
Jednego Króla, jednego Boğa, jedno Prawo.”

III

Głos umilkł. Widzieli bladą jego twarz,
Jak się z ciemności wynurzała, jego rękę
Na skale wieczności zdejmującą klamry
Z Księgi spiżowej. Wściekłość zatrzęsa silnymi.

Wściekłość, furia, oburzenie
W lawinach ognia, krwi i żółci,
W wirach siarkowego dymu.
I olbrzymie kształty energii,
Wszystkie siedmiorakie grzechy śmiertelne duszy
W ożywionych pojawiły się tworach,
W płomieniach wiecznego gniewu.

Rozpadając się, ciemniejąc, wybuchając gromami,
Strasznym wstrząsem rozdarta
Wieczność rozprysnęła się szeroko,
Na wszystkie strony daleko się tocząc;
Wzdęta w góry na wszystkie strony olbrzymie,
Odchodziła, odchodziła, odchodziła,
Zostawiając pogruchotane szczątki życia,
Urwiste, groźne skały — a w środku był bezmierny
Ocean pustki bezdennej.

Płomienie z łopofem przebiegały po niebiosach
W wichurze, w ulewach krwi;
Nad mrocznymi Urizena pustyniami
Płomienie przez pustkę jak deszcz spadały
Na zastępy Urizena, które on sam zrodził.

Nie dadzą światła te płomienie: wszędzie ciemność
W požodze furii wiecznej.

W męce, wśród płomieni nie gasnących
Ku pustyniom i skałom biegł gniewny,
Aby się tam ukryć; ale nie znalazł schronienia;
Więc z uporem rył góry I wzgórza swą mocą,
Piętrzył je W trudzie nieustannym,
Wyjąc głucho, w bólu, w szaleństwie,
Długo, długo wśród płomieni się mozoląc,

Aż siwy się stał, wiekiem zgarbiony, sędziwy
W rozpaczy i cieniu śmierci.

Strop rozległy, kamienny
Dokoła siebie ukształtował, jak łono,
Gdzie tysiące rzek w żyłach krwi
Spływa po zboczach gór, aby uśmierzać
Wieczne ognie, co się rozprzestrzeniały
Oc! Wiecznych; i jak czarna kula
Oglądana przez synów Wieczności stojących
Na wybrzeżu bezmiernego Oceanu,
Jak ludzkie, w piersi bijące, szamoczące się serce
Świat przestronny Urizena się wyłonił.

A Los wokół ciemnej kuli Urizena
Z polecenia Wiecznych krążył, czał się, aby uwięzić
I odosobnić to mroczne oddzielenie,
Od którego Wieczność tak była daleka,
Jak daleko gwiazdy są od ziemi.

Plakał, szlochał Los, krążąc wokół ciemnego Demona
I przeklinając swą dolę; bo Urizen w udęcę
Oderwany był od jego boku;
I tylko pustka dla stóp Losa bezdenna,
Ogień wściekle płonący — jego dom.

W kamiennym śnie Urizen spoczywał,
Nie władający sobą, oderwany od Wieczności.

Mówili Wieczni: „Cóż to jest? Śmierć.
Urizen to bryła gliny.”

Los był w ostupieniu i rozpaczy,
Szlochał, płakał, jęczał,
Dopóki oderwanie nie zostanie uleczone.

Ale nie zablizniło się Urizenowe oderwanie.
Zimny, bezkształtny, ciało albo glina,
Miotając się wśród przeraźliwych przemian,
W nocy bez snów leżał.

Wreszcie Los płomienie swoje rozniecił, przerażony
Bezkształtną, niezmierną śmiercią.
IV

Jakże się Los zadziwił
Grzechotem kości

I tym wznoszącym się, dyszącym siarką,
Udręczonym Nieśmiertelnym, który tak się srożył

W wirach, we wrzącej smole
Pod gniewnymi rękami Losa.

Uczył Los sieci i pęta,
Aby je zarzucić na wszystkie strony.

Trwożnie się wpatrywał
W mroczne przemiany; i każdą z nich pętał
Okowami z żelaza i spiżu.

A takie były przemiany Urizena:

Wieki po wiekach nad nim się toczyły;
W kamiennym śnie wieki nad nim się toczyły,
Jak rumowisko ciemne, wielkie, zmienne,
Huczące wstrząsami ziemi, posępnych pełne płomieni.
Wieki toczyły się po wiekach w upiornej,
Mdłej udręce; a krążąc wokół Urizena
W wirach ciemności Prorok wieczny jęczał,
Młotem okowy żelazne umacniając,
Lejąc roztopione żelazo, rozdzielając
Noc ową straszną na warty.

I Urizen (tak imię jego wieczne dźwięczy)
Płodną rozkosz swoją coraz głębiej mroczył
W ciemności tajemnej, ukrywając w topieli
Wrzącej siarki swoje rojenia.
Prorok wieczny napelnił ciemne miechy,
Odmówił spoczynku obcęgom, a miotowi
Nieustannie bić kazał, coraz to nowe wykuwając
łańcuchy,

Ogniwami piętnując godziny, dni, lata.

Z wiecznego umysłu, uwięzionego, poczęły się toczyć
Fale wzburzone zażartego gniewu,
Siarka spieniona gęstą wznosiła się nawałą,
Aż w jezioro zastygła jasne, roziskrzona,
Białe jak na zimnych górach śnieg.

Zapomnienie, niemotę, konieczność
Łańcuchami umysłu spętane
Jak zacieśniającymi się okowami lodu,
Rozbite, oderwane od Wieczności,
Los kuł na kowadłach żelaznych
I rozpałał piece, i łał strumienie
Roztopionego żelaza, roztopionego spiżu.

Miotał się Nieśmiertelny w łańcuchach,
Dysząc boleśnie, nie mogąc znieść tej męki,
Aż wreszcie pułap, jak dzikiej puszczy strop,
Zamknął w okręgu źródło jego myśli.

W strasznym, pełnym majaków śnie,
Niby w mocno spojonych łańcuchach piekielnych,

Wielki Kościec, skręcony w męce
Pośród szalejących wichrów, wypuszczał pędy, bolesne
Żebra, sklepioną pieczarę;
Kości materii zamarzały
Nad ścięgnami jego uradowań.
I pierwszy przeminął Wiek,
Stan posępnego cierpienia.

Z jam jego potężnego Kościca
Opadła, ze zgrozą, czerwona,
Rozżarzona Kula, głęboko opadła,
Zapadła w Otchłań:
Dyszac, zasklepiając się, drząc.

Wysnuwały się miriady gałęzi
Z jego twardych kości.
I drugi przeminął Wiek,
Stan posępnego cierpienia.

Obląkany trwogą
Krzepki jego umysł wypuścił gałęzie
Wokół gałęzi jego serca
Wysoko, w dwóch małych kręgach,
I utwierdził je w dwóch małych jaskiniach,
Troskliwie ukrywając je przed wichrem;
Oczy jego przezierały głębie.
I trzeci przeminął Wiek,
Stan posępnego cierpienia.

Zaczęły się męki nadziei.
W ciężkim bólu, miotając się, zmagając
Dwoje Uszu w ciasnych zwojach
Spod kręgów jego widzenia
Wyrastało ku górze pokrętnie i kamieniało
W miarę, jak rosło. I czwarty minął Wiek,
Stan posępnego cierpienia.

W upiornej, mdłej mące,
Kołysząc się w wicherze,
Dwa Nozdrza nad głębią się pochylały.
I piąty przeminął Wiek,
Stan posępnego cierpienia.

W upiornej, mdłej mące
Wśród jego żeber się rozszerzała
Głodna, ziejąca Jaskinia;
Z niej Gardło jego, jak kanał, się wysnuło;
L jak płomień szkarłatny, Język
Łaknienia i głodu się pojawił.
I szósty przeminął Wiek,
Stan posępnego cierpienia.

Dyszac gniewem, dławiac się męką

Prawe Ramię wyciągnął ku północy,
Lewe ku południowi,
Rozprzestrzeniając się w udręce bezdennej,
A jego stopy Otchłań dolną deptały
W dreszczu, wyciu, niedoli.
I siódmy przeminął Wiek,
Stan posepnego cierpienia.

V

W przerażeniu Los od swego oderwał się dzieła;
Wielki młot wypadł z jego rąk.
Ognie swoje widząc ze zgrozą,
Silne członki ich ukrył w dymie;
Bo pośród wszystkich gromów zniszczenia,
Pośród chrzęstu, łoskotu, jęków
Nieśmiertelny przetrwał łańcuchy,
Choć śmiertelnym był spętany snem.

Wszystkie miriady Wieczności.
Cała mądrość i radość życia
Wokół niego toczą się jak morze
Oprócz tego, co jego małe kręgi widzenia
Stopniowo odsłaniają.

I Oto wieczne jego życie
Jako sen wymazane.

Zadrzał wieczny Prorok, jeden cios
Od północy swej do południa wymierzył.
Miechy i młot już milczą.
Drętwota milczenia głos Losa proroczy
Spętała; zimna samotność, ciemna pustka
Wokół wiecznego Proroka i Urizena się zamknęła.

Wieki po wiekach nad nimi się toczyły,
Odciętymi od życia i światła, zamarzłymi
W potworne kształty kalectwa.
Los pozwolił swym płomieniom przygasnąć;
Potem za siebie obejrzał się z niecierpliwą tęsknotą,
Ale przestrzeń, nie podzielona istnieniem,
Lękiem duszę jego poraziła.

Płakał Los ocieniony żalobą,
A łono jego drżało trzęsieniami Ziemi;
Zobaczył Urizena śmiertelnie czarnego,
Łańcuchami spętanego; i Litość się poczęła —

W niepokoju ciągle rozszczepiającym,
Bo Litość rozszczepia duszę
W bólach, wieczność po wieczności,
Życie kaskadami spływało z jego urwisk.
Próżnia skupiła fluid w mięśnie

Rozbiegające się szeroko w łonie nocy
I ostała się kula krwi
Drżąca nad Próżnią.

Tak wieczny Prorok był podzielony
Przed śmiertelnym wizerunkiem Urizena;
W zmiennych bowiem chmurach i ciemności,
Pośród mroźnej nocy w dole
Otchłań Losa rozciągała się w bezmiar;
I raz widzialne, raz zacienione,
Oczom Wiecznych wizje odległe
Mrocznego rozdzielania się jawiły;
Jak lunety odkrywają światy
W bezkresnej Otchłani przestrzeni,
Tak rozszerzające się oczy Nieśmiertelnych
Dostrzegały ciemne wizje Losa,
A kula krwi żywota unosiła się drżąc.

Kula życia drżała
Wypuszczając korzenie
Włókniste, wijące się w wichrze,
Włókna krwi, mleka i łez
W bólach, wieczność po wieczności.
Wreszcie we łzy i wołania wcielona
Postać niewieścia, drżąca i blada
Przed twarzą Losa pełną śmierci się kołysze.

Cała zatrzęsała się Wieczność
Na widok pierwszej niewieściej postaci, oddzielonej,
Bladej jak śnieżna chmura,
Kołyszącej się przed obliczem Losa.

Zadziwienie, niemota, lęk, osłupienie
Skamieniają wiekuiste miriady
Wobec pierwszej niewieściej postaci, oddzielonej.
Litością ją nazwawszy, umknęły.

„Rozpostrzyjcie nad nimi namiot, mocne zasłony,
Niechaj sznury i kołki próżnię spętają, zamkną,
Aby Wieczni już nigdy ich nie oglądali.”

Poczęli więc tkąć kotary ciemności,
Wielkie postawili wokół Próżni słupy,
A do słupów przytwierdzili haki złote;
W nieskończonym mozole Wieczni
Zasłonę tkali; i nazwali ją Wiedzą.

VI

Lecz Los ujrzał Niewiastę, ulitował się nad nią;
Objął ją, płakała, stroniła;
W przewrotnej, okrutnej rozkoszy
Uciekała z jego ramion, on szedł ciągle za nią.

Zadrżała Wieczność, gdy ujrzeli,
Jak człowiek płodzi podobieństwo swoje
Ze swego własnego oddzielonego wizerunku.

Czas przemijał; Wieczni
Zaczęli rozpinać namiot;
Lecz oto Enitharmon, omdlewając,
Pojęła, że w jej łonie zagnieździł się Robak.

Bezradny leżał Robak W drżącym łonie,
Czekając na kształt i istnienie.
Przez cały dzień Robak spoczywał na jej piersiach;
Przez całą noc w głębi jej łona
Robak spoczywał, aż się rozrósł w węża.
Groźnie sycząc, grożąc jadem
Lędźwie Enitharmon oplatał.

Ciasno się zwijając w łonie Enitharmon
Wąż rósł, zrzucał łuski;
Wśród przenikliwych bólów syk węża powoli

W przeraźliwy krzyk się przemieniał;
Wiele cierpień, straszliwych skurczów,
Wiele kształtów ryb, ptaków i bestii
Wydało z siebie Postać Dziecięcą,
Gdzie niegdyś Robak był.

Wieczni już namiot rozpięli
Przestraszeni tymi wizjami mrocznymi,
Kiedy Enitharmon jęcząc
Porodziła Dziecię płci męskiej.

Ostry krzyk rozdarł Wieczność,
Nagły, dławiący skurcz,
Gdy urodził się Cień Człowieczy.

Ryjąc Ziemię, torując sobie drogę nieodparcie,
Wyjąc, Dziecię wśród gorejących płomieni
Wynurzało się z Enitharmon.

Wieczni zamknęli namiot;
Utwardzili kołki, sznury rozciągnęli —
Dzieło na wieczność.
Już nigdy więcej Los nie ujrzął Wieczności.

Wziął Dziecię na ręce,
W zdrojach smutku je skąpał,
Oddał je Enitharmon.

VII

Nazwali Dziecię Ork; rosło

Karmione mlekiem Enitharmon.

Los ją przebudził. O, smutku, o, bólu!
Oto zacieśniający się pas oplótł
Jego łono. Łkając,
Rozerwał pas na dwie części;
Lecz oto inny pas uciskał
Jego łono, Łkając,
Znowu go rozerwał, I znowu
Inny pas go uciska.
Za dnia się pas kształtował,
Nocą na dwie części się rozpadał.

A one, padając na skałę,
Stawały się łańcuchem żelaznym,
Jednym łańcuchem o mocnych ogniwach.

Na szczyt góry powiedli Orka.
Jakże Bnitharmon płakała!
Przykuli młode jego ciało do skały
Łańcuchem Zazdrości
Poci pełnym śmierci cieniem Urizena.

Głos dziecka usłyszał umarły
I powoli budził się ze snu;
Wszystkie twory usłyszały głos dziecka
I powoli budziły się do życia.

A Urizen, gnany wściekłym głodem,
Drażniony wonnymi tchnieniami Natury,
Przeszukiwał swoje pieczary.

Przygotował miarę i ołowiankę,
Aby rozdzielić Otchłań rozwierającą się W
dole;

Wytoczył linie rozdzielenia.

Ukształtował wagę I ciężkie odważniki,
Ukształtował kwadrant ze spiżu
I złote kompasy.
Troskliwie badał Otchłań;
I zasadził ogród drzew rodzących owoce.

Tymczasem Los obwarował Enitharmon
Płomieniami Proroctwa
Przed wzrokiem Urizena I Orka.

I zrodziła ona ród Olbrzymów.

VIII

Urizen przeszukiwał pieczary,

Góry, bagna, pustynie,
Kulą ognia oświetlając sobie drogę,
Wędrowną przeraźliwą, dręczony
Okrutnymi ogromami, kształtami życia
Na opuszczonych górach.

Mrowił się świat istnościami ogromnymi,
Przerażającymi, uludnymi, peiznącymi
Cząstkami życia, podobieństwami
Stóp, rąk, głów,
Serc, oczu; płynęły złe, zażarte
Potworności straszliwe, łąkące krwi.

Jakże smucił się Urizen widząc
Te wieczne twory swoje,
Synów i córki niedoli pośród gór,
Słyszając ich płacz i lament. Najpierw Tirieli,
Własnym istnieniem zadziwiony,
Niby człowiek zrodzony z chmury, się ukazał;
Oto Utha, z wód się wynurzając, szlocha;

Grodna z głębi Ziemi się wrywa, wyje,
Jakże zadziwiony; niebo rozległe trzeszczy
Jak ziemia wypalona żarem słońca — i oto Fuzon
Płomieniem się rozjarzył,
On, pierwszy z jego tworów, ostatni urodzony.
Podobnie wszyscy inni wieczni synowie
Przed Urizenem się jawili; córki — spośród traw
i trzody,
Spośród potworów i robaków pełzających w jamach.

W ciemności zamknięty swemu rodowi się przypatrywał,
A jego dusza omdlewała! Przeklinał
I synów, i córki; widział bowiem,
Że ani ciało, ani duch przestrzegać nie mogą
Żelaznych jego praw choćby przez jedną chwilę.

Widział bowiem, że życie śmiercią żyje:
Wół jęczy w rzeźni,
Pies u wrót domu, gdy wiatr zimy dmie;
Zapłakał — i nazwał to Litością,
A jego łzy na wszystkie strony poniósł wiatr.

Zimny, kroczył wysoko ponad ich miastami
We łzach, smutku, bólu;
A dokądkolwiek szedł w niedoli
Przez niebiosą sędziwą,
Cień zimny płynął za nim zawsze,
Do pajęczyny tkanej przez pajaka podobny,
Wilgotny, zimny, mglisty,
Wyłaniający się z jego zbolącej duszy,
Rozszczepiający kamienne niebiosów więzienie
Wszędzie tam, gdzie ponad miastami

Urizen w smutku kroczył.

I wreszcie Pajęczyna ciemna i zimna
Z Urizenowego smutku
Wszystkie udręczone żywioły oplotła.
A owa Sieć Pajęcza to Niewiasta w zarodku.
Nic, nawet skrzydła ognia, nie mogło rozerwać
Owej sieci — tak mocne jej sznury,
Tak ciasne sploty, tak zwiłkane,
Jak zwiłkane są zwoje człowieczego mózgu.

I Wszyscy ją Siecią Religii nazwali.

IX

Wtedy mieszkańcy owych miast
Czuli, że ich mięśnie w szpik się przemieniają;
I twardniejące kości się poczęły
W gwałtownych bólach i udrękach,
Drgając, trzeszcząc, rozrastając się
Na wszystkie strony; aż zmysły, osłabione,
Rzuciły się do ucieczki w głąb, aby być jak najdalej
Od mrocznej sieci zarazy.

A wtedy oczy, odwracające się, zacienione,
Już nie rozpoznawały troskliwie utkanej obłudy;
Strugi mułu na ich niebie,
Scalone ścieśniającym się postrzeganiem,
Jawiły się jako powietrze przejrzyste; oczy ich bowiem
Tak małe się stały jak ludzkie oczy;
I oto oni, kurcząc się, pełzając,
Byli już teraz tworami wysokimi tylko na siedem stóp.

Przez sześć dni tak umykali od istnienia,
A siódmego dnia już spoczęli
I błogosławili siódmy dzień w swej mdłej nadziei,
I zapomnieli już O Życiu wiecznym.

A trzydzieści ich miast podzielonych
Na kształt ludzkiego serca.
Już nie mogli wznosić się swobodnie
Pośród próżni bezmiernej, lecz do ziemi przykuci
Zacieśniającym się postrzeganiem
Żyli przez ileś lat,
A potem ciało chore zostawiali
Łapczywym szczękcom ciemności.

I płakały ich dzieci, budowały
Grobowce w miejscach odludnych;
I ogłaszały prawa roztropności, nazywając je
Wiecznymi prawami Boga.

I trzydzieści miast przetrwało,

Słonymi wodami otoczonych, zwanych teraz
Afryką; ich miano było niegdyś: Egipt.

Inni synowie Urizena
Widzieli, jak ich bracia się kurczą
Pod Urizenową Siecią.
Na nic się nie zdali namowy;
Uszy mieszkańców bowiem
Ogłuszone były i zimne,
A ich oczy nie dostrzegały
Braci z innych miast.

Wtedy Fuzon zwołał
Wszystkie pozostałe dzieci Urizena.
I opuścili chwiejącą się ziemię;
Egiptem ją nazwali; i odeszli.

słony Ocean toczył się zamknięty.